

**Znowu jest głośno o Fundacji Kultury – Izabelli Cywińskiej, poczętej po wchłonięciu popeere-
lowskiego Funduszu Rozwoju Kultury w wyso-
kości ponad 116 ówczesnych miliardów złotych.**

Opisaliśmy ten numer z detalami w „NIE” z 24 września 1992 r. To był artykuł Mirosławy Dołęgowskiej-Wysockiej pt. „Fotel pominięty”. Ale przypomniemy podstawowe fakty.

Fundacja Kultury została powołana do życia aktem notarialnym z 11 czerwca 1990 r., a postanowieniem Sądu Rejonowego z dnia 21 grudnia 1990 r. wpisana do rejestru fundacji. 30 września 1991 r., w wywiadzie udzielonym „Kurierowi Polskiemu”, Cywińska zwierzyła się, że Fundację wymyśliła razem z Mazowieckim i Balcerowiczem, kiedy Bank Światowy zaordynował Polsce zlikwidowanie wszystkich funduszy celowych, a więc również istniejącego od 1981 r. Funduszu Rozwoju Kultury. Jako minister kultury, po prostu zablokowała ponad sto miliardów złotych z Funduszu Rozwoju Kultury, by następnie przelać je na konto wymyślonej przez siebie Fundacji Kultury i zachować dla artystów.

Pani minister ogłaszała zresztą gromko, że nie zamierza bynajmniej porzucić na PRL-owskiej forsie. Zwróciła się do biznesmenów, czyli fundatorów. Było ich dwunastu. Dobroczynicy zebrali 51 milionów złotych. Wypadło po niecałe pięć baniek na każdy biznesowy łeb.

Nie zrażona tym Cywińska oświadczyła, że biznesmenów skupiła wokół siebie nie po to, by po prostacku wyciągnąć od nich pieniądze, ale żeby służyli jej fachową radą i pomnażali te 116 miliardów PRL-u dla dobra już prawdziwej kultury. Red. Wysocka opisała w „NIE” jak to pomnażanie wyglądało.

Na przykład, postanowiono sprzedać tysiacy ton mięsa za wschodnią granicę za milion butelek szampana. Fundacja miała wyłożyć 12 mld zł, zaś spółka, z którą Fundacja kręciła ten interes, tylko 2 mld zł. Wynegocjowany podział zysków z całej ope-

racji był natomiast taki, że Fundacja miała otrzymać tylko 35 proc., zaś spółka 65 proc. Szefem spółki był jeden z biznesmenów-dobroczynców, jednocześnie członek zarządu Fundacji Kultury.

Pani Cywińska, oczywiście, nie zareagowała na publikację w „NIE”, ale 13 października 1992 r., opisała swoje znakomite działania w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej”.

„Inwestuje wśród znajomych, bo gdybym miała jakiś własny kapitał i chciała zainwestować, na pewno chętniej powierzyłabym go osobie, którą znam i darzę zaufaniem niż komuś, kogo pierwszy raz widzę na oczy.

Z mięsem i szampanem zgadza się. Szkoda tylko, że nikt nie zainteresował się losem tej transakcji. Otóż ostatecznie nie doszła ona do skutku i nie przyniosła spodziewanego dochodu.

Sposób przejęcia pieniędzy skarbu państwa tworzył złą atmosferę wokół Fundacji Kultury. Również to, że Izabela Cywińska jeszcze jako minister, organizując Fundację „zabezpieczyła” w niej miejsca pracy dla siebie i najbliższych współpracowników, na wypadek upadku gabinetu.

I stało się. 12 stycznia 1991 r. Marek Rostworowski, jako nowy minister, zgodnie z ówczesnym statutem, stał się automatycznie prezesem zarządu. Cywińska została wówczas urzędującym wiceprezesem. W Fundacji, na eksponowanych stanowiskach, zgodnie z planem, godziwe ładowisko znalazł wiceministrowie z jej kadencji – Andrzej Rottermund i Stefan Starczewski. – Przecież ich doświadczenie trzeba wykorzystać – powiedziała Cywińska.

Pod koniec roku 1992 niewyczuwalną obecność Fundacji we wspomaganie środowisk twórczych tłumaczyła Cywińska rozkręcaniem

Izabela Szczodra

funduszy i zapowiedziała, że Fundacja w 1993 roku znacznie rozszerzy działalność.

W 1993 roku o Fundacji było jednak jakby jeszcze ciszej. Moim zdaniem niesłusznie. Była minister bowiem wraz z zarządem przeprowadziła kolejną, korzystną dla siebie i jak najbardziej udaną, operację. Otóż w lipcu 1993 roku zmieniono statut Fundacji.

Gdy Cywińska była ministrem, zgodnie z tym statutem – minister był równocześnie z urzędu prezesem Fundacji. Gdy już nie była – szast prast i nowy statut inaczej reguluje tę kwestię. Prezesa wybiera Rada Fundacji. Ministrowi kultury przysługuje tylko prawo wskazania przewodniczącego Rady Fundacji, wyłącznie z grona osób wybranych przez Zgromadzenie Fundatorów. Na dodatek zgodnie z obecnie obowiązującym statutem skarb państwa ma tylko jeden głos we wspomnianym Zgromadzeniu Fundatorów. To oznacza, że skarb państwa wnosząc ponad 116 miliardów złotych ma tyle samo do gadania co, dajmy na to, jakiś znajomy Cywińskiej, który wniósł np. 1 mln zł.

Z tych powodów nie zdziwiło nas specjalnie, że pierwszy nietętosowy minister kultury, Kazimierz Dejmek, na jednej z konferencji prasowych powiedział co o tej całej Fundacji Kultury myśli. Mocno to jednak zdziwiło i poruszyło Andrzeja Osekę, który w „Gazecie Wyborczej” (16–17.IV.1994 r.) najpierw cytuje ministra:

Musimy rozwiązać problem z wielomiliardową resztówką Narodowego Funduszu Rozwoju Kultury z czasów Jaruzelskiego, z której utworzono Fundację Kultury. W istocie (...) grono prywatnych osób zawłaszczy-

ło państwowe pieniądze, bawi się w Medyceuszy. I zaraz komentuje to pryncypialnie:

Minister nie zarzuca Fundacji, że „państwowe pieniądze” sprzeniewierzyła lub obróciła na cele inne niż wspieranie kultury; nie wchodzi w to, że pieniądze pomnożyła, nie naruszając kapitału. Nie może tylko znieść, że ciało społeczne uniezależniło się od ministerstwa. W peerelowskim pojęciu wszystko, co spon-



aniczne, społeczne – jest niepoważne, „samozwańcze”. Czego nie można kontrolować – najlepiej zamknąć.

Oseka włóczy i rozjeżdża na całej stronie „Gazety Wyborczej” Kazimierza Dejmka, jego współpracowników i „wszystkich ludzi PRL”. Przez skromność nie wspominał jednak, że nie pisze jako obiektywny sędzia, bo sam jest członkiem Rady Promocji Fundacji Kultury,

a więc jest adwokatem niejako we własnej sprawie. Co ten pełen moralów tekst czyni jakby trochę mniej moralnym.

Rada Promocji Fundacji Kultury, której Oseka jest członkiem, to ta sama, która w 1993 r. rozdysonowała aż 18 miliardów 712 milionów złotych. Dużo, jeśli zważyć, że na wszystkie programy „na rzecz rozwoju kultury i sztuki narodowej” cała Fundacja wydała 24 miliardy 46 milionów 832 tysiące złotych. Cieniutko jednak, jeśli przypomniemy sobie, że w październiku 1992 r. Izabela Cywińska zapowiedziała znaczne rozszerzenie działalności, mając jako kwotę wyjściową ponad 100 mld, czyli na obecne pieniądze więcej niż ćwierć biliona.

Owszem, widzieliśmy w telewizorze fetę zorganizowaną w związku

nie miesięczne pracowników Fundacji – brutto wynosiło 14 milionów 518 tysięcy 150 złotych, zaś członków zarządu – 22 miliony 677 tysięcy złotych. Co prowadzi do wniosku, że Fundacja służy jej zarządowi i pracownikom w wyraźniejszym stopniu niż twórcom.

W 1993 r. Fundacja Kultury na „Program współczesnej literatury polskiej” wydała 1 miliard 45 milionów 440 tysięcy złotych. W tym samym roku na „wynagrodzenia bezosobowe” (prace zlecone, honoraria) w samej Fundacji – 1 miliard 93 miliony 922 tysiące 300 złotych.

Znienaruszonym kapitałem, jak chce Oseka, też jest inaczej. Z pieniędzy z Funduszu Rozwoju Kultury na dzień 31 grudnia 1993 roku zostało 111 miliardów 874 miliony 374 tysiące 500 złotych. A przecież kapitał wyjściowy musiał się podwoić przez zwykłe dopisywanie procentów bankowych. Bądźmy więc dokładni, skoro jesteśmy tacy wrażliwi i obiektywni.

Faktem natomiast jest, o czym Oseka nie wspomina, że 19 stycznia 1994 roku Rada Fundacji przyjęła rezygnację Izabelli Cywińskiej z funkcji prezesa zarządu. Pozostała ona jednak członkiem zarządu (pensja 22 677 000 zł).

Kapitał założycielski Fundacji Kultury 31 grudnia 1991 roku wynosił 116 miliardów 747 milionów złotych. 3 stycznia 1994 roku stan środków finansowych Fundacji (przed zamknięciem bilansu) wynosił 130 miliardów 904 miliony zł.

Taki jest dorobek „ciała społecznego”, które pomnaża spadek po PRL-u.

Mniej biegłym w rachunkach Czytelnikom podpowiadamy, że gdyby Cywińska nie chciała wymienić mięsa na szampany, gdyby w ogóle nic nie robiła tylko wsadziła te 116 miliardów śmierdzącej Jaruzelskim forsą do banku PKO BP, to trzyletnia lokata (36 proc. rocznie) bez kapitalizacji zamieniłaby te pieniądze w 473 pięknie pachnące kapitalizmem miliardy.